Najdroższa mamo — mike17

Od autora: Ostrzegam, to brudny i ciężki tekst, wchodzisz na własne ryzyko. Napisany na podstawie rozmów z przeszłości. Znałem kilku ludzi. Chodzili do tych samych szkół, bawili się na tym samym podwórku, istnieli gdzieś w życiu. Zawsze będą się tacy rodzić. Nie mieli żadnych zahamowań. Mieli potrzebę gadania o sobie. Dali mi zaczyn pod to opowiadanie. To już tyle lat, ale ja nadal pamiętam. Resztę uzupełniłem po swojemu. Zapraszam.

Mamo, to ja, Johnny, mówię dziś te słowa, choć od roku już cię nie ma.

Okradałem cię od najwcześniejszych lat, na długo zanim poszedłem do szkoły podstawowej, i kiedy zacząłem przyklejać sobie plastikowe, czerwone paznokcie, poczułem, czym jest bolesna rozkosz, której nie umiałem wówczas jeszcze rozładować i po swojemu zdefiniować.
Zamykałem się w łazience i drapałem nimi po członku, wyobrażając sobie, że robi to kobieta o pięknych palcach, zakończonych paznokciami o kształcie migdałów.
Ty nie byłaś taka: wstydziłem się, że jesteś mała i gruba, a matki chłopaków wyglądają jak latynoskie modelki, ale tej więzi nie przebiła żadna z kobiet, z którymi potem dane mi było żyć – w konfrontacji z tobą jawiły się mdło i tak też odcisnęły w pamięci, jako śmieszne pacynki, lubiące, jak ktoś zdecydowanie pociąga za ten właściwy sznurek.

Kiedyś znalazłem na śmietniku japoński komiks o samurajach, którzy obcinali sobie głowy, ręce, nogi, wypruwali flaki, patrzyłem na niego jak urzeczony, chowając w szafie jak najcenniejszy skarb, gdzie czasem wchodziłem w nocy z latarką, by patrzeć na coś, co pompowało w moje żyły zaspokojenie i poczucie, że nowy wymiar bije na łeb, na szyję głupawe zabawy z rówieśnikami na podwórku, bezrozumne kopanie piłki czy grę w kapsle.
I kiedy wkrótce pewnego dnia obudziłem się rano, pierwszą rzeczą jaką odkryłem, była jasna, lepka ciecz na rozporku.

Wtedy zainteresowałem się zwierzętami: lubiłem patrzeć na ich strach, słuchać skowytu, kiedy oszalały biłem je kijem, kłułem nożem, kopałem i śmiałem się do rozpuku.
Zmieniały się często w naszym domu, lecz żaden nie zagrzał długo miejsca.
Tamten żółty kanarek nie uciekł oknem, jak ci mówiłem, kiedyś po lekcjach zabrałem go nad rzekę i dotąd trzymałem pod wodą, aż przestał się ruszać.

Mamo, pamiętasz wakacje u babci?
Ileż się wtedy wydarzyło.
Choć mówiłem, że idę na ryby, poniekąd krążyłem w okolicach rzeki, tak naprawdę chodziłem godzinami po łąkach, bardzo skupiony i podniecony, i wkładałem do słoika żaby, dżdżownice, a w strumyku spod kamieni wyciągałem grube, czarne pijawki, które wrzucałem do tego, co znalazłem, by patrzeć, jak robaki wiją się, kiedy one wysysają z nich krew.
Żaby ciąłem nożem na kawałki lub rozbijałem młotkiem na miazgę.
A zauważyłaś nagłe zniknięcie kota, który znikąd przychodził codziennie pod dom?

Pewnego dnia już się nie pojawił, powód?
Jakoś go już nie lubiłem.
Polałem benzyną i podpaliłem – latał w kółko jak kula z kosmosu.
Kiedy w niedzielę szedłem do spowiedzi, zawsze miałem uśmiech na twarzy, bo jedynym grzechem, jaki szczerze pamiętałem, było pyskowanie babci i jedzenie kiełbasy w piątek.
Nigdy nie mógłbym okłamać księdza, przecież znasz mnie – bałbym się kary z Niebios.

Mario, kurwa to charakter, nie zawód, dlatego czy mógłbym zaprosić cię dziś wieczorem na kolację? Dajesz mi wolność, jakiej nie mam w domu, bo ta stara chce, żebym zajął się małym, częściej bywał w u jej rodziców, oglądał z nią seriale i przy zgaszonym świetle dogadzał jej, choć sama się oszukuje, że to coś w ogóle znaczy – to bigotka, tylko Bóg, wiara i żywoty świętych, to ja czasem biorę ją, jednak, kiedy widzę ten wstręt, natychmiast jestem z tobą.
Duszę się, brak mi tlenu. Ty mi go dajesz, kiedy jestem między twoimi nogami. Dziwka i klient. Czyż to nie idealny układ? To gwarancja bezpieczeństwa, której nie mam z tamtą.
Bo całe to kochanie to klatka, w której zdycham, pieprzona harmonia małżeńska.
Jak ją wziąłem, była jeszcze dziewicą, w wieku trzydziestu trzech lat. Nie do pomyślenia".

Tato, to ja twój syn, skurwysyn, komu dziś śpiewasz serenady?
Komu obiecujesz miłość aż po grób, tak łatwo ci to ponoć przychodziło, tak lekko i jakże niewybaczalnie ohydnie, bo urodziłeś się wszawym kundlem, który myśli kroczem.
Ochoczo strzelałeś spermą na lewo i prawo, i trafił ci się pewnego dnia niechciany synuś, któremu nigdy nie powiedziałeś dobrego słowa, nie kupiłeś prezentu, nie wziąłeś na kolana.
- Matka, obiad! – krzyczałeś, nalewając sobie kolejny kieliszek wódki.
- Już, kochanie – odpowiadałaś mamo, a ja życzyłem, by ten pierdolony cham zadławił się żarciem, sam go mordowałem w myślach na wiele sposobów, ale nigdy nie posunąłem się tak daleko, niemniej jednak był taki wieczór, kiedy akurat kąpał się, a ja przez krótką chwilę zamierzałem wejść do łazienki, włączyć radio do gniazdka i wrzucić mu je do wanny.
Opamiętałem się i z kieszeni jego spodni wyjąłem spory zwitek banknotów – niech myśli, że zgubił po pijaku.

Lubiłem oglądać twoje pornosy, tato, które miałeś schowane za łóżkiem jak coś, co stanowiło dla ciebie wartość samą w sobie, jak nagroda za to, czego nie masz pod własnym dachem.
Jacyś murzyni o wielkich fiutach posuwali białe kobiety.
- Johnny, ludzie mówią, że twój stary był już dwa razy żonaty – powiedział Kościsty Teddy pewnego, pięknego, kwietniowego poranka na przerwie szkolnej. – To ostry jebaka, chodzą słuchy, że każdej robi między nogami rozklepiochę. Pewnie mówi w domu, że musi wyjechać na delegację?
Faktycznie często tak mówiłeś i w weekendy znikałeś, by pojawić się kompletnie pijany pod wieczór i w ubraniu paść na fotel i w ten sposób przespać do rana.
- A jacy ludzie konkretnie to mówią? – spytałem.
- A Brandon, choćby.

Biłem dotąd, aż stracił przytomność.
Byłem silnym dwunastolatkiem, a on chuchrem, i do dziś nie wiem, czy to złość na ciebie, tato, wywołała u mnie atak szału, czy spowodowała to świadomość, że mieszasz moją matkę z błotem, będąc tak skończonym ścierwem, że tylko anioł mógł z kimś podobnym żyć, a ty nie miałeś zielonego pojęcia, że masz go w domu.
Kiedy myślałem o tobie i tym, kim jesteś, szedłem do parku i po zdjęciu butów i skarpet, ciąłem stopy

żyletką i wtedy wracał spokój, odchodziłeś nagle w niepamięć jak gówno spuszczone w kiblu.
Gdy płynęła krew, czułem, jakbym wracał do czasów, kiedy, mamo, spałaś ze mną jeszcze w jednym łóżku, czułem się otoczony murem twojej miłości, a gówniany świat nie miał do mnie dostępu, bijąc łbem o niewidzialną ścianę, stworzoną przez twoją czułość.

Nie było tygodnia, bym kogoś dotkliwie nie pobił, to było silniejsze ode mnie, bo była już we mnie przemożna potrzeba, by sycić się ludzkim cierpieniem, już nie zabijałem zwierząt, teraz biłem, kopałem, gryzłem, plułem, wsadzałem palce w oczy, dopóki „przeciwnik" się jeszcze ruszał, a widok krwi wyzwalał we mnie euforię, niedostępną żadnymi, innymi środkami.
Cztery razy zmieniałem szkoły, wywalany na zbity pysk za złe zachowanie i to, że słowo „pierdol się, facet" stało się w moich ustach ripostą na wrzaski nauczycieli, którzy mieli na mnie taki wpływ, jak na umarłego kadzidło.
W końcu wylądowałem w budzie, do której chodził przyszły kwiat świata przestępczego i tu poczułem się jak u siebie, lecz miał to być kolejny etap w moim „wewnętrznym rozwoju".
Kiedy pewnego dnia dałem nożem jakiejś ciocie, stałem się bohaterem, nikt mnie nie sypnął, a ten, którego poczęstowałem kosą, schodził mi z drogi ze spojrzeniem zbitego psa.

Wiesz, tato, kiedy byłeś w „delegacji", zacząłem zaglądać do twoich butelek.
Dziś już wiem, że alkohol jest bogiem, jest panem duszy i ciała.
Wygłosi ci swoje kazanie, a potem powie, byś klęknął, i klękniesz, bo to bóg silny.
Nigdy nie stałem się tobą, pijąc tylko tyle, by zachować jasność umysłu i kontrolę na każdą sytuacją, jaka była mi dana, i wtedy, jako już piętnastolatek, i potem jako dorosły facet starałem się wybierać inne przyjemności, bardziej finezyjnie łechcące moje poczucie spełnienia.

Mario, to nieprawda, że jesteś kurwą. Jesteś święta w tym, co robisz, bo nikogo nie oszukujesz i nikomu nie składasz obietnic, których nie dotrzymasz. Uczciwość idzie w parze ze spokojem. Wyczuwam go u ciebie, nie to, co u tej, z którą dzielę łóżko, dom i bachora. Ta tępa baba tylko pierze, gotuje i sprząta. Przez nią piję, wyobrażasz sobie? Żeby móc z nią wytrzymać, bo na trzeźwo się nie da, jest taka dobra, taka słodka, że rzygać się chce.
Kiedy swego czasu poprosiłem ją, żeby zrobiła mi loda, omal nie wywaliła mnie z łóżka, tłumacząc do białego rana, że to wbrew prawom boskich, że skąd u mnie taki pociąg do zboczeń, że syn mnie potrzebuje, a ten złośliwy gówniarz tylko pyskuje albo milczy jak zaklęty, w kogo ten skurwiel się wrodził? No na pewno nie we mnie. U mnie albo czarne, albo białe, a on jest taki, że nie mogę go wciąż rozgryźć, trzyma z matką i gadają na mnie za plecami.
Wiesz, jestem twoim najlepszym klientem, ile to już lat, dziesięć, dwanaście? Ty się wcale nie starzejesz. Kiedy widzę twój tyłek, tracę zmysły. Żadna kobieta mnie tak nie kręciła.
Dajesz mi złoto tego świata, coś, na co nie ma nazwy, ja jej nie znam, choć odpowiedzi wciąż szukam, kiedy jestem z tobą…

Mamo, w tamtej szkole poznałem, co to onanizm i nie tylko.
Robiliśmy zawody, kto dalej strzeli spermą.
Wygrywał Długi John, ale on miał fiuta „na miękko" prawie trzydziestocentymetrowego, więc cała reszta nie miała z nim najmniejszych szans, kiedy z płaską radością na twarzy posyłał swój „ładunek" na kilka metrów, co bolało mnie jak cholera.
Ten, kto wypalił najbliżej, musiał zrobić trzydzieści pompek.

Ruda Jane za drobne zdejmowała majtki i można było sobie pooglądać.

Każdy to zaliczył, ja też, choć patrząc na nią czułem wstręt, bo miała tam kępę rudych kłaków, jakichś cienkich i obrzydliwych, a i ta dziura była mdło różowa, że źle się robiło.
Zrobiła mi ręką, na więcej się nie zgadzała.
Chciałem w tamtej chwili walnąć ją w pysk, ale skończyło się na solidnym kopniaku.

Na niedzielnej mszy myślami byłem bardzo daleko: marzyłem o tym, by tatę spotkała śmierć, a mnie dziewczyna, która da mi to, czego mi jeszcze nikt nie dał, a na co już czekałem od dawna, będąc wiernym uczniem mistrza Onana…
- Mamo – spytałem cię pewnego dnia – czy to prawda, że tata miał przed tobą dwie żony?
- Tak, ale nigdy nie zdradź się z tym przed nim.
- Czemu?
- Bo mnie zabije.
- Jak to zabije?
- Tak powiedział.
- To ja zabiję jego.
Kochana, wiem, że nie powinienem ci tego mówić, ale chłopaki wytropili jakoś, gdzie on jeździł na te „delegacje" – do pewnej prostytutki, do Manor Creek.

Pewnego razu zerwałem się z budy i pojechałem tam, by trochę powęszyć.
Właśnie skończyłem siedemnaście lat i miałem już metr osiemdziesiąt i byłem gotów na wszystko, co dane mi będzie przeżyć, a tamtego dnia chciałem stanąć twarzą w twarz z tą dziwką i po swojemu z nią pogadać.
Fred dał mi adres, więc uderzyłem tam prosto z dworca.
Wiedziałem, że mnie nie wyda: sam miał podobnego ojca i notorycznie posiniaczone ciało.
- Maria? – spytałem, kiedy otworzyła.
- Tak, a co?
- Można?
- Chciałeś sobie popukać?
- Właśnie.
- Wejdź.
Powiedziała mi to, co chciałem usłyszeć i po co przyjechałem – bez cienia zażenowania opowiadała mi wszystko ze szczegółami, tak lekko i swobodnie, jak mówi się o czymś, z czego jest się dumnym lub co zasługuje na miano życiowego sukcesu.
Kiedy ją uderzyłem, zemdlała, potem wpadłem już w amok, ale tego nie przechowała pamięć.
Zresztą mało mnie to wtedy obchodziło.
Był moment, w którym wróciło świadome myślenie.
Spojrzałem na nią, wyglądała nieszczególnie, opis nieistotny, po co to komu, prawda?
Ręce i nogi związałem sznurkiem i zawlokłem do kuchni, gdzie przywiązałem ją za szyję do kaloryfera, by mieć pewność, że już się nie ruszy.
Potem odkręciłem gaz, zamknąłem drzwi i schowałem do kieszeni gumowe rękawiczki, które cały czas chroniły mnie przed pozostawieniem odcisków palców.
Trochę się tych filmów w życiu obejrzało.

Cieszysz się, mamo?
To dla ciebie, to dla ciebie to zakończyłem, bo cię kocham, bo jesteś jedyną kobietą mojego życia, a te, co przez nie przemknęły, to smród i ubóstwo, żenada niewarta wspomnień.
Tylko ty, kochana, tylko ty liczyłaś się, odkąd ujrzałem ten świat.

Dla ciebie zabiłem tę dziwkę, czyż to nie piękne?
Czy coś czułem?
Byłem podniecony, choć to mało dokładne określenie tego, co się we mnie wówczas kłębiło.
Ja lubię patrzeć, jak boli, i dawać ten ból, i potem móc to wspominać, jak podróż do nieba.
Jest w tym coś słodkiego, dawanie tego innym to czysta rozkosz, a w tamtej chwili byłem Biczem Bożym, czy jak to tam zwać, ktoś to musiał w końcu zrobić i Przeznaczenie wybrało mnie, twojego syna, jego skurwysyna, by zakończył coś, co kalało mnie i ciebie, mamuś, i ukręciłem łeb hydrze i już nigdy nie odrośnie…

Tato, zawsze byłeś skurwiałym gnojem, ale że aż takim, nigdy bym nie przypuścił.
Tak bardzo byłeś przywiązany do tej kurewki?
Nigdy nie widziałeś śmierci?
Ja tak, wiele razy, to wielkie przeżycie, budujące, dające siłę, by się określić.
A ty określiłeś się kiedyś?
Nie dałeś mi szansy, bym cię poznał, zawsze pijany albo tak odległy jak kosmos.
Po co wszedłeś w drogę mojej mamie, co cię w niej zauroczyło?
Ta bezgraniczna dobroć, którą gnoiłeś każdego dnia, włażąc z buciorami w jej uczucia, lojalność i uczciwość, z której jawnie kpiłeś, miłość, którą chowała przez lata dla tego jedynego, niezrozumiała dla ciebie, bo po uszy tkwiłeś w gównie, gównem oddychając.
W końcu może to, że taki jebaka jak ty powinien szukać w rynsztoku, a nie tam, gdzie inny znajdzie perłę, zabierze ją do domu i postawi na najwyższym miejscu, by była światłem.

Ludzie mówią, że widziano cię w kwietniu na Południu z jakąś tlenioną blondyną.
Ktoś widział, jak leciałeś z nią w ślinę na środku ulicy.
Ciągle jesteś w drodze?
Nowa rodzina, nowy skurwysyn, nowy ty?
A masz już na boku nową kurwę?
Nową Marię, którą będziesz posuwał, kiedy żona będzie stała w oknie i czekała na twój powrót z „delegacji”?
Kto cię sprowadził do poziomu dechy klozetowej, że każdego dnia oddajesz to innym?
Życzę ci śmierci i byś nie płodził już ludzi.
Zatrułeś mnie bólem.
Dałeś świat, w którym nie znam pojęcia litości – nie jestem imbecylem, poznałem kiedyś swój iloraz inteligencji, chciałbyś mieć taki, i chciałbyś poczuć, jak pachnie strach, jak cudownie pachnie ktoś, kto boi się o swoje życie, a ja mogę mu je odebrać.
Wiesz, nadal czasem się tnę.
Kiedy pomyślę, że chodzisz po świecie i nie mogę cię dopaść.
Ostatnio pociąłem obie stopy, ale do tego bólu jestem już przyzwyczajony.
Jest częścią mnie.
Przez ciebie, przez ciebie, śmieciu.

- Nie pal browna, bo będziesz głupszy od downa – mówił bełkotliwie Seksowny Mario, napakowany, półgłupi Latynos, bachor z gwałtu, kiedy jadąc jego cadillackiem, paliliśmy, nie bacząc na skutki. – Najwyżej się, kurwa, zabijemy, nie? A wiesz, koleś, z LSD to mieszanka wybuchowa. Zaufaj mi, ten wieczór jest nasz! Na takim haju już nigdy nie będziesz, chyba że w piekle, ale i tam może nawywijasz, jaki ci starczy pary.
Nie wiem, mamo, co wtedy robiłem, chciałem zajarać, poczuć odlot, pomieszałem.

Gdzieś przy wylocie z miasta rozjechaliśmy tę małą, która wbiegła wprost pod koła, miała podobno dziesięć lat – ja prowadziłem, wszystko na to wskazywało.
Potem wysiedliśmy z samochodu, zwalając się na ziemię: on mówił, że Bóg jest obok i właśnie słucha Stonesów, a ja widziałem błękitne Hawaje i prułem na srebrnym surfingu po wysokich falach, by po chwili całować słodkie małolaty.
Jak dotarliśmy do pobliskiego lasu, nie pamiętam, choć powinienem powiedzieć, że mój mózg był wówczas bardzo daleko, jeśli w ogóle gdzieś był, i tylko z gazet wyczytałem potem, że zabiłem dziecko.
Nikt nas nie widział, nikt nie zakapował, żyło się dalej.
Nad ranem obudziliśmy się z syfem w ustach i z wrażeniem, że to czeski film, w którym gramy, a który się nie dzieje, bo ani film, ani my, nie jesteśmy realni.

Czy żałowałem?
A co to znaczy?

- Johnny, gratuluję – rzekł profesor w dniu, kiedy ukończyłem dziennikarstwo. – Takich ludzi nam trzeba, masz jaja, masz to coś, co sprawia, że będziesz idealny do tej roboty. Ameryka kocha bohaterów. Ty nam to dasz, wiem, że tak będzie.
- Tak, panie Blackstone – odpowiedziałem.
- A co byś chciał robić w przyszłości? Jakieś plany? Masz już koncepcję na siebie?
- Chciałbym zostać dziennikarzem wojennym.
- O! To brzmi jak: „Ja wam jeszcze pokażę”. Ale czemu akurat wojennym?
- To jest we mnie, nie nazwę tego tu, przed panem. To zbyt skomplikowane.
- Ale przecież możesz dostać kulkę w łeb.
- Może mnie to spotkać równie dobrze po wyjściu z pana gabinetu.
- To dziwny kraj.
- Spokój działa na mnie jak trucizna.
- Jasne, życzę ci szczęścia.
- Dziękuję.
- Czasem wyślij mi pocztówkę.
- Nie zapomnę, profesorze.

Mamo, to zawsze było oszustwo, jak jedzenie taniego pasztetu, łudząc się, że to łosoś.
Niezmiennie pytały, czemu traktuje je jak zwierzęta.
Nie rozumiałem tego pytania – zwierzęta lubiłem zabijać, a im dawałem niewidzialny, cienki sznurek, który okręcałem wokół duszy, czy czegoś podobnego, i mając go w palcach, wykonywałem ruchy raz w górę, raz w dół, czasem nie wykonywałem żadnych, bo idealna kontrola polega na tym, by wyczuć, kiedy trzeba wykonać krok, a kiedy brak kroku będzie czymś więcej niż krok siedmiomilowy, a co za tym idzie, może poruszyć niebo i ziemię.
Mogę śmiało rzec, nic tak nie pociąga, jak czynienie zła dla samego jego czynienia, bo czyż to, co zakazane, nie pociąga najbardziej? Czyż świadomość wynaturzonego postępowania nie stanowi owej diabelskiej siły, która do tegoż postępowania najbardziej zachęca i popycha?

A może istnieje dobre zło i złe dobro?
A może cierpienie jest formą radości, którą odrzucają zmysły?
A może radość to przejaw infantylnienia i uproszczania tego, co warto wziąć pod lupę, bo istnieje pojęcie „śmiechu kretyna”, a zatem, jeśli takowy rozlegnie się gdzieś obok, jak się do niego odnieść, wszak może być z gruntu zatruty, a co za tym idzie, skazany na potępienie.

Były blondynkami, brunetkami, były też rude, miałem też parę Murzynek, były wyposażone w małe i duże biusty, wąskie i szerokie pochwy, rozłożyste biodra i zmysłowe spojrzenie, usta słodkie lub beznamiętne jak twarz komornika w sobotnie przedpołudnie gdzieś, na tyłach starego sklepu, gdzie pieniądz umarł w całej swej sromocie, a ostatni wytrysk znaczył drogę do łazienki.

Mamo, pamiętasz tego skurwysyna?
Nawet nie wiesz, ile lat żył we mnie, ile miejsca znalazł sobie gdzieś w mojej przestrzeni między jednym uchem a drugim, w klatce piersiowej, w mięsie.
Jak to jest, że im bardziej coś oddalasz, tym bardziej to chce wejść w głąb.

Wszystkie mówiły, że mam z nimi dzieci, próbowałem policzyć, będzie tego trochę, dziwne, w ciągu niecałych pięciu lat?
Zmieniam miejsce zamieszkania, nie chcę, by złapały mnie na alimenty, nie mam stałego meldunku, oczy otwarte, patrzą na to, co za plecami i w przestrzeni, której nie widać.
Jeśli któraś mnie namierzy i będzie bruździć, pojadę i zabiję, moja osoba jest poza tym, co prości ludzie nazywają „małżeństwem", nie uznaję panów, bo nie jestem pod nikim.

Tato, już nie żyjesz, wypatroszyłem cię starym bagnetem.
Wątrobę usmażyłem z cebulką, a mózg upiekłem w specjalnym garnku beztłuszczowym, by potem móc jeść i cieszyć podniebienie morzem smaków, co równych sobie nie mają w świecie potraw serwowanych w knajpach i nawet lepszych restauracjach, lecz tam nie zjesz tego, co ja jadłem, kiedy zabijałem cię po wielokroć, byś zasilił moją biomasę.
- Pierdolę to, tato, już nie będę cię szukał – powiedziałem kiedyś do siebie w smutnym, zimnym lesie, gdzie spacerując z dzieciakiem, który był z moich lędźwi, błagałem los, by bękart jak najszybciej znalazł się z powrotem u matki, bo jeszcze chwila, a nie ręczę za siebie.
- Tato, gdyby tylko odrobina ciepła… mała odrobina czułości… jakiś dobry odruch – szeptałem do ciebie.
Gadał dziad do obrazu.
Wtedy po raz ostatni się pociąłem – wnętrze dłoni, siedem razy.
Co za ulga…
Zlizywałem krew, a obok istniał świat, który czcił coca colę, Marylin i serce pełne miłości.
- Co się gapisz? – krzyknąłem.
Gówniarz uciekł gdzieś w krzaki, krzycząc: „Ojciec zwariował, ojciec zwariował!"

- Panie Johnny, potrzebujemy kogoś, kto nie boi się snajperów. Kto umie przeżyć i przekazać materiał, który pokaże światu, o co w tym wszystkim chodzi. To może być niezła przygoda, taka, co to zdarza się raz w życiu. Nie nalegam, rzecz jasna…
- Nie musiał pan prosić.

W 1993 roku znalazłem się w Sarajewie jako dziennikarz wojenny, trzymający się ściśle wojsk europejskich, pełen entuzjazmu i adrenaliny, która krążyła nieustannie w żyłach.
Bo to, co ludzie nazywali polem bitwy, ja nazywałem domem.
Nigdy nie oddalałem się, starając się być w pobliżu, jednak pewnego dnia, kiedy patrol został nieoczekiwanie zaatakowany przez Serbów, instynktownie poszedłem za nimi, by sfilmować, ile się da i puścić to w świat.
Zbombardowany blok straszył upiornymi oczodołami wybitych okien, dach płonął, a z piwnicy do-

chodziły nerwowe, ostre krzyki, świadczące o tym, iż coś złego się tam dzieje.
Ktoś krzyczał po rosyjsku i to mnie mocno zaniepokoiło.
A więc byli tu i Rosjanie.

Jednak poszedłem, wiedziony nagłym instynktem, i kiedy ujrzałem całą scenkę, natychmiast zacząłem filmować.
Grupa mężczyzn w mundurach moro kopała kłębowisko ciał, krzyczących i modlących się głośno do Boga, by pomógł, lecz tylko ciosy świadczyły o tym, co Los zgotował w ową godzinę.
W pewnej chwili Serbowie nieoczekiwanie otworzyli ogień i to, co przed chwilą było jeszcze ludźmi, stało się nagle martwą kupą mięsa.
Poczułem zapach krwi, słodki i nienazwany, na krótką chwilę odpłynąłem daleko, poza horyzont, poza bycie w sobie, jak gdyby bezosobowy byt porwał mnie w inny wymiar i dał przez moment posmak osobliwej harmonii, coś, czego nie opiszę słowami, bo są zbyt ubogie.

Widok śmierci tak mnie podniecił, że pomimo bliskiej styczności filmowałem dalej, nie bacząc na skutki i to, co może rychło nastąpić.
Nagle od tyłu poczułem mocne uderzenie – stojący za mną Serb dał mi kolbą w plecy.
- Amerikanin? – zapytał.
- Tak.
- Wsiech żop nie wyjebiosz, a nada. Ty tiepier' paskaczesz. My gorjaczije malcziki. Nada było zdzies' nie prijeżdżat' – powiedział gruby Rosjanin, podchodząc do mnie.
- Zdrastwujtie, otiec, my pajebat' priszli. My tiebie pokażem, szto eta nastojaszaja, mużskaja ljubow'. My paigrajem. Gatowyj? – rzucił drugi, ukazując garnitur złotych zębów.
- Żeńka, ja pierwyj. Ja wsunu jemu razom z jajcami – powiedział wysoki Serb, i rzuciwszy się na mnie, zdarł ze mnie spodnie.
- Charoszaja rabota, niet eta kak w amerikańskoj pizdzie – śmiali się Rosjanie, kiedy ta świnia brała mnie od tyłu, trzymając łapą za włosy i wgniatając twarz w mur.
Piekło, dosłownie i w przenośni.
Czas stanął w miejscu, a ja tkwiłem przy ścianie, do której podchodzili kolejni Serbowie i Rosjanie i wypełniali mnie swoim nasieniem, dysząc mi w nos pijackimi oddechami:
- No szto, Amerikanin, lubisz ty rosjan? My druzja, w żopu. Ty nikagda nas nie pozabudziesz.
- Pierdol się – rzucałem na oślep, lecz oni tylko się śmiali i robili swoje.
- No pajebali my. Scziastliwyj? Paskaži o nas w Americe, szto russkaje eta nastojaszije jebaki – zakończył jakiś Azjata o twarzy kretyna, oddając mocz na sąsiednią ścianę.
- Paszoł won, ty bljad'! Priszli nam swaju mat', uznajet, szto eta rosijskij sałdat. My znajem, kak pastupat' z żensinami – mocny kopniak zabolał jak cios łopatą w tył czaszki.
Na koniec ostrzelali moją kamerę i kazali wynosić się, bo zabiją.

Mamo, wiesz, co to znaczy być mężczyzną?
To mieć kobiety i zwyciężać w życiu, podporządkować je sobie, być panem świata, kształtować go podług własnych reguł, by na koniec powiedzieć: „ Zrobiłem wszystko, co mogłem, a ponieważ mogłem wiele, to dziś wiele mam", i patrzeć z góry na tych, którzy albo za sprawą lenistwa i głupoty do niczego nie doszli, albo zrządzenia Losu, co lubi wsadzić kij w szprychy roweru, na którym jedziemy do punktu przeznaczenia.

W pewnej chwili obudziłem się i zobaczyłem, że leżę na jakimś gruzowisku.
Poczułem się gównem, zerem, padliną.

Tu, w dzikim kraju, nie byłem już tym, który rozdaje karty, mój los nie był w moich rękach, a godność spłynęła do dołu kloacznego.
Kiedy już znalazłem się wśród swoich, poprosiłem o rozmowę z dowódcą garnizonu.
- O co chodzi, Johnny?
- Chcę przydział broni. Niedawno zostałem zaatakowany, cudem uszedłem z życiem.
- Ok. Chłopcy dadzą ci jakiś pistolet. Nie ma problemu.
- Rozpieprzyli mi kamerę. Chyba nie jestem tu już potrzebny.
- Jakaś kamera się znajdzie.
- To dobrze, bo chcę to kurewstwo sfilmować i pokazać światu.
- Myślę, że na dniach dostaniesz sprzęt.

Byłem tam dobre dwa lata.
Nic nie wskazywało na to, że podejmę tę decyzję, która później miała zmienić wszystko.
Nic nie było w mojej głowie, tylko wojna, snajperzy i kamera.
Czasem dobre żarcie, ale nie było to normą.
Kiedy pewnego razu zobaczyłem w oknie zniszczonego bloku Serba z karabinem z lunetą, coś błysnęło mi w głowie, coś, co nakazało działać.
Powiedziałem o moim odkryciu miejscowym, i ci razem ze mną poszli, aby załatwić resztę.
Trwało to wieki, kiedy bezszelestnie pięliśmy się po schodach zbombardowanego budynku, jak cienie, jak duchy, które w każdej chwili mogą wyrwać serce i odebrać życie.

W końcu dotarliśmy do poziomu, na którym leżał bezkarny snajper i celował w kogoś na ulicy, już śmierć była tak blisko, że bliżej być nie mogła, lodowate powietrze cuchnęło ścierwem.
Poczułem to, co było we mnie od dzieciństwa, we krwi, w mózgu, wokoło, kiedy zabijałem żaby, kopałem psy, biłem kolegów, przypływ czegoś, czego zdefiniować nie zdołam, bo bardziej to czułem, niż mogłem ubrać w słowa i określić – ta krew nie była czerwona.
- Mogę?
- Co? – spytali ludzie.
- Zabić go.
- A czemu ty? On do naszych strzelał. To nie twoja wojna.
- Moja też – i to powiedziawszy, podszedłem cicho do żołnierza i kopnąwszy go, by się obrócił, strzelałem mu w twarz tak długo, aż stała się krwawą miazgą, dopóki starczyło naboi. Wokoło walały się resztki mózgu.
Długo patrzyłem na niego i widziałem w nim ciebie, tato, jakże wtedy byłeś blisko, jakbyś stał naprzeciwko mnie i topił się jak tandetna świeca w kościele, w którym każdy jest drugiemu bogiem.
Bo w piekle nie ma już diabłów – wszystkie są na ziemi.
Trupa wyrzuciłem przez okno na ulicę.
Poczułem ulgę, a na twarzy pojawiło się coś na kształt spełnienia.
Z twarzy wytarłem krew, poprosiłem o papierosa.
Potem zapytali mnie:
- Po co ci to było?
- Bo to bandyta był.
- U ciebie charakter.
- E tam, ja tu robię tylko filmy.

Mamo, gdy mi o tym powiedziałaś, a chwilę tę odwlekałaś bardzo długo, nie chcąc mnie martwić, usiadłem na podłodze i zapłakałem jak dziecko.

Kiedy byłem tam, w Sarajewie, nie uroniłem nawet łzy, a widziałem rzeczy, od których normalny człowiek osiwiałby w jedną noc lub postradał zmysły.
Dlaczego to musiało spotkać właśnie ciebie, ludzie żyją przecież nawet do setki i umierają we śnie, jakby anioł śmierci spłynął na nich i złożył wiekuisty pocałunek na starczym czole.
- Synku, kiedy cię nie było już to miałam. To nie boli. Można odwlekać ten moment w czasie, ale on nadejdzie, nie w tym roku, to w przyszłym lub w kolejnym. Tak mi powiedział lekarz. Nauczyłam się z tym żyć.
- Ale bierzesz leki? – jęknąłem.
- Tak, biorę, ale one tego nie zatrzymają, to jest we mnie.
- Nie możesz umrzeć!
- Wszyscy kiedyś musimy – powiedziałaś tak, że już wiedziałem, że nigdy wcześniej w całym życiu nie poczułem takiego bólu, a to, co było dotąd, wydało mi się wtedy śmieszne i niedorzeczne, w zderzeniu z tą, brutalną prawdą wyglądało jak stara, wyblakła koszula.

Z każdym dniem coraz mniej mnie było, powoli docierało to do obolałego umysłu, który zawzięcie bronił się przed faktem, że przyjdzie taki dzień, kiedy ciebie już przy mnie nie będzie.
Jakże chciałem odejść razem z tobą, bo dopóki ty istniałaś, istniałem ja, byłaś częścią mnie, tą najważniejszą, jedynym sensem, choć nigdy nie poznałaś mnie naprawdę, bo ta prawda mogłaby cię zabić, a wówczas zabiłaby i twojego, ukochanego syna.
W miarę, jak mijały kolejne tygodnie i miesiące, kiedy patrzyłem na postępującą ruinę twojego zdrowia, odchodziłem od zmysłów wiedząc, że nie mogę ci pomóc i nie zatrzymam tego, co z wolna zmierzało do stacji końcowej…
Gasłaś, mamo, a ja po raz pierwszy w życiu poczułem, co to lęk.
Lęk to dziki, niezależny byt, wchodzący w człowieka, by tam rozrastać się jak pasożyt.
Duszny i gęsty, brutalnie dławiący gardło, jak zapowiedź losu, który miał być mi dany bez ciebie – wówczas umrę za życia, albo… to też brałem pod uwagę.

Gdzieś po roku i w moim życiu coś się zmieniło.

Nigdy ci o tym nie powiedziałem, chciałem zaoszczędzić czegoś, co mogłoby cię przedwcześnie złamać jak cienką trzcinę, która i tak nadwątlona, nie wytrzyma siły złego wiatru.
Ukrywałem to przed tobą, kochana, bo tylko ty się liczyłaś, ja przez ten czas przestałem istnieć i mało obchodził mnie mój los – świat zamknął się w kręgu twojej choroby, a moje życie było na drugim planie.
Nawet do głowy by ci nie przyszło, że nie byłem już człowiekiem zdrowym.
Moja przebiegłość miała objawić się wówczas po raz ostatni – już nigdy z niej później nie skorzystałem, rozdwajając się na opiekowanie tobą i bycie pacjentem, na którego widok lekarze mieli niezmiennie smutne oczy i niewiele słów do powiedzenia, zwłaszcza gdy omawiali moje aktualne badania…

Wtedy, po latach zapomnienia, zwróciłem się do Niego.
Chodziło mi tylko o ciebie, mamo, ja się nie liczyłem.
Kiedy pewnego dnia klęcząc na zimnej, kościelnej posadzce prosiłem o to, by choć raz w życiu zrobił coś dla mnie, bo już wtedy wiedziałem, że nigdy Go przy mnie nie było, gdy w moim umyśle latami panował mrok, który uznawałem za światło.
Wtedy, tam, w przypadkowo wybranym kościele, nie wiedząc do końca, czemu to robię, przyznałem się sam przed sobą, że od zawsze byłem zwykłym śmieciem, gnojem gorszym od własnego ojca, dobro nie miało do mnie dostępu, tylko w twoim przypadku, mamo.
Pożałowałem każdej brudnej rzeczy, jaka wyszła spod moich rąk i prosiłem Go o wybaczenie, ja morder-

ca, ludzka menda, ktoś, kto nie powinien się nigdy narodzić.
Jakże mocno przepraszałem ciebie, najdroższa, że tak daleko padło jabłko od jabłoni.
Jeśli tak wygląda skowyt sumienia, to wtedy usłyszałem ten przenikliwy, bolesny jęk.

Wracałem wiele razy i w ciszy kościelnej nawy, prosiłem Go o to, by mi ciebie nie zabierał.
Prosiłem tak, jak jeszcze nie prosiłem w całym życiu.
Bo czyż kiedykolwiek to robiłem?
Teraz był pierwszy raz i nie miało być już żadnego innego.

I nie było.

To już rok, mamo, odkąd odeszłaś, pozostawiając pustkę, która stała się mną.
Wiesz, prawie nic już nie jem, mało piję, odstawiłem wszystkie leki.
Nie będą mi potrzebne, zresztą nigdy nie były, odkąd straciłaś zdrowie.
Nigdy więcej nie pójdę do Niego, już teraz nie muszę.
Ale nie mam żalu.
Wręcz przeciwnie, to długo nie potrwa, może pół roku, więcej mi nie dają.
Teraz ci mogę o tym powiedzieć, bo nie zobaczę twoich smutnych, przerażonych oczu, kiedy poznasz mój bolesny sekret.
Był taki dzień, tam, w tym dzikim kraju, było kilku Rosjan i Serbów, i ja, bezbronny.
W Afryce umierają na to codziennie tysiące ludzi.
I tak dzielnie się trzymałem, ale czasu nie cofnę, mnie się to nie uda.

Już niedługo, mamo, poczekaj jeszcze trochę.
Nie mówię ci „żegnaj”, mówię: „Do zobaczenia, kiedyś, po tamtej stronie…”

7 marca 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 14.03.2014 19:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.